

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

Głuszec w Siedmiogrodzie.

Rozmaite są emocye i przyjemności dla myśliwego na różnych polowaniach. Strzelając do zwierzyny drobnej, cieszymy się ładnymi strzałami, ilością rozkładu, a wreszcie i „miot wieczorny", zawsze niechybny, t. j. dobry obiadek i partyjka wista, wpływają doskonale na podniecenie humorów. Inne już gody czekają nas w łowach na dziki, na jelenie. Tu strzał, już każdy z osobna daje rozkosz myśliwską i jest źródłem emocyi, a ostatnim aktem długich nieraz zabiegów. Tropienie zwierza, plan całej kampanii, uroczy ryk jelenia, ta najpiękniejsza dla ucha myśliwego muzyka, ujadanie psów przy dziku, fukanie odyńca, ten cały zgiełk, który raz zasłyszany wiecznie już brzmi w uchu, to wszystko są pojedyncze fazy tych pięknych tonów, zapełniających duszę wspomnieniami niewygasłemi. Ale znam dwa polowania, które może jeszcze potężniejszym głosem są w stanie do wyobraźni przemówić, bo jeszcze potężniej w nich piękność i siła natury występuje i całe otoczenie silniejszy wpływ na nas wywiera.

To łowy na głuszca i na kozicę.

Tu cała olbrzymia przyroda zdaje się mówić jednym, wielkim głosem. Gdy na stokach skalistej turni stoję nad zabitym capem, spoglądam z wysokości chmur na ziemię. W szarej odległości ledwie widoczne ludzkie mieszkania, przypominają mi, że i prócz mnie są jeszcze inni ludzie na świecie. Gdyby nie to przypomnienie, to możnaby tam o tem faktycznie zapomnieć, takie uczucie samotności, a zarazem grozy serce ogarnia. Wobec tego morza skał i urwisk, człowiek czuje się tak słabym i małym. Jest on igraszką tylko w rękach przyrody; lada śnieżyca, lawina lub kamień wodą ze śniegów podmulony, a cała zręczność

i siła fizyczna, cały rozum na nic się nie przydadzą. Oblany promieniami palącego słońca widnokrąg cały zdaje się widocznym jak na dłoni, ziemia zdaje się nie mieć już żadnych tajemnic przed bystrym wzrokiem i zdałoby się człowiekowi, że jest potężnym, gdyby nie te góry olbrzymie, wzbudzające zawsze uczucie grozy, uczucie, że się właściwie nie więcej waży od ziarnka piasku.

Gdy z wiosną na dołach już słońce przypiecze, gdy słonka już wabi wieczorem a rano cietrzew świszcze i bełkocze, wspinamy się ku górom jeszcze śniegiem pokrytym, tam gdzie głuszec, król ptaków, pieśń miłości śpiewa. W górach jeszcze martwa cisza. Śnieg głęboki przez całą zimę kładł tamę stopie ludzkiej. Jeszcze ani drwal, ani owczarz tu nie wtargnął. Naokół nie słyszymy nigdzie głosu ludzkiego; w tej ciszy poważnej wkraczam w bór. Drzewa ciemne, wilgotne wyglądają jakby strzegły jakichś tajemnic. Śnieg głuszy odgłos kroków i człowiek sunie cicho, jak duch w bajecznej krainie. Jeszcze noc głucha, ciemniejsza niż na dołach a już ucho nasze wysłuchuje z natężeniem pierwszego odgłosu budzącej się do życia natury — telęku głuszca. Naprzód uderza on po razu, powoli, nieśmiało; po pierwszych paru głosach uderzenia coraz prędzej po sobie następują, już po dwa, już po trzy z rzędu, aż nareszcie i pierwszą zwrotkę głuszec zaśpiewał. Ogon rozłożył szeroko, nogę przed nogę wysunął, naburzył pióra na szyi i z dzióbem ku górze wzniesionym raz po raz telęka, jedną zwrotkę swej pieśni za drugą śpiewa. Z dzióbem ku wschodowi zwróconym zdaje się oczekiwać pierwszego brzasku, by słońce wschodzące pieśnią przywitać. Na wschodzie już świtać poczyna i coraz wyraźniej i głuszec i drzewa z pomroki nocnej się wyłaniają. Już nad okiem śpiewaka wyraźnie świeci czerwona kreska korali, już widzimy jak burzy pióra na sobie, jak szyja w załomach zielonym odbłyskiem się mieni.

Wtem doszło słońce do horyzontu i pierwszy promyk przedarł się ku szczytom gór.

Głuszec pieśń urwał, wyprostował się, szyję przed siebie wyciągnął i nieruchomy, oniemiały spogląda jakby bał się głosem lub ruchem zamącić ciszę w przyrodzie. I cała też przyroda zdaje się w skupieniu witać wschód słońca. Ani wiaterek nie zawieje, ani liść suchy nie drgnie na drzewie, nawet woda w strumyku sącząca zdaje się ciszej płynąć. Dopiero gdy teraz słoneczko wzniesie się ponad horyzont, natura budzi się z letargu. Wiatr powiał i ruszył gałęzią. Głuszec jakby zbudzony przestępuje z nogi na nogę, po chwili zaczyna telękać, z początku wolno, potem coraz prędzej, aż wreszcie śpiewa zwrotkę za zwrotką, pokąd słońce wysoko się nie wzniesie i promieniami swymi grzać nie pocznie. Kury tymczasem już od chwili wabią w około. Więc głuszec pieśń swą przerywa i słucha. Uroczem gdakaniem jakby zachęcony poczyna znowu tokować. Lecz kury ciągle go wabią. Więc coraz częściej swą pieśń przerywa, coraz dłużej się swym kochankom przysłuchuje, aż wreszcie posuwa się na gałęzi raz i drugi i szybkim lotem zapada na ziemi. Tu jeszcze telęka i sunie długimi krokami ku kurom. Wtem łopot skrzydeł daje się słyszeć. To drugi głuszec zapadł. Rywale kroczą ku sobie. Ogony rozłożone, każde piórko naprężone, groźne dzioby ku sobie wyciągnięte. Raz i drugi jeszcze się cofają, aż wreszcie namiętność przemaga. Więc godzą dziobami ku szyjom, skrzydła z łoskotem się zderzają i słychać ostry skrzekot, ich okrzyk bojowy.

Po chwili rozskakują się, ale po to tylko, by wypocząć i znowu z podwójnym zapałem walkę podjąć. Jednak intruz zmiarkował, że nie na swoje rzeczy się porwał, więc przy nowem starciu uskakuje w bok, składa wachlarz, wyprostowuje się i bokiem odchodzić zaczyna. Stary kogut jeszcze z rozłożonym wachlarzem parę kroków podąża, parę razy telęka, aż pokazawszy tem swoją przewagę, wyciąga się, strzepuje i kroczy ku kurom, które ciągle gdacząc i zawodząc, posuwają się ku dołowi. Po chwili wszystko to się już schowało, w gąszczakach rozeszło, a gdyby jakiś spóźniony przechodzień w to miejsce przyszedł, nie domyśliłby się, że przed chwilą tu król ptaków pieśń miłości śpiewał, że staczał zaciętą bitwę z rywalem a potem odszedł zwycięski w kole swego haremu.

Każdy taki ranek podsłuchany jest dla myśliwego chwilą niczem nie zamąconego szczęścia. Troski życia codziennego zostały głęboko w dolinie. W górach myśl wolna, pierś lżej oddycha i zdaje się człowiekowi, że naprawdę jest szczęśliwym. Ten obraz głuszca, budzącego wiosnę swą pieśnią, objęty ramionami gór, ciemnych lasów dziewiczych, oddzielony od świata głębokimi śniegami, to życie samotne w kolebie, te wieczory spędzane przy ognisku, te noce przy świetle gwiazd, wszystko to razem przemawia tak potężnym głosem do duszy, że chciałoby się tam wiecznie żyć, wiecznie tej wiośnie się przyglądać i nigdy stamtąd nie schodzić.

Tegoroczna zima wszędzie w śniegi obfita, szczególnie szczodrą była w Siedmiogrodzie. Miałem zamiar być już przed dwudziestym kwietnia w górach; wiadomości jednak, które otrzymałem, że niemożliwem jest przedostać się przez śniegi, spóźniały ciągle mój wyjazd tak, że ostatecznie ruszyłem dopiero pierwszych dni maja. W Siedmiogrodzie pierwszy raz polowałem na głuszce, nie znałem więc żadnego tokowiska. Kilku miejscowych kłusowników, którzy mogli mi być pomocnymi, zgłosiło swą ofertę na wydzierżawienie nadal polowania. Uważając mnie za wroga, nie chcieli mi towarzyszyć. Wobec tego musiałem się kierować wskazówkami danemi mi przez myśliwego, który przed ośmiu laty tam polował, a zresztą zdać się na swoje oczy i na szczęście. Dwa dni trwała przeprawa, nim do miejsca doszedłem, gdzie miało być pierwsze tokowisko. Śnieg w lesie miejscami po kolana, miejscami w pas. Ponad lasem wśród kosodrzewiny leżał jeszcze „na chłopa“ wysoko. W nocy nie było mrozu, tak, że noga zupełnie się zapadała. Jedynym więc ratunkiem były „śniegowce“ (możeby tak można nazwać — Schneereifen).

Pierwsze trzy dni zeszły bez żadnego rezultatu. Wskutek silnego bardzo tajania nie można było znaleźć śladów głuszczów i jedynym sposobem wyszukania tokowiska było obchodzenie z pierwszym dnia brzaskiem miejsc, potemu się nadających.

Czwartego dnia rano zeszedłem już znaczną część stoku, znowu napróżno, kierując się ku większej polanie. O godzinie trzy na piątą doszedłem do niej i nie słysząc nic, siadłem na środku polany, na pniaku, by pokrzepić się węgierską słoniną. Ledwie tylko rękę do worka włożyłem, gdy nagle coś zaszumiało, łopot dał się słyszeć i głuszec zapadł na wierzchołku sosny, ośmdziesiąt kroków odemnie. Natychmiast jednak mnie zobaczył i zleciał. To pojawienie się o tak wczesnej porze odrazu mi nasunęło myśl, że wreszcie znalazłem tokowisko. Rozglądnąwszy się w koło, spostrzegłem poniżej polany stok lesisty, wolny od śniegu, zwrócony ku wschodowi, porosły mchem. Począłem tedy spuszczać się ku dołowi i postanowiłem poczekać tam do siódmej godziny, mając nadzieję, że głuszce spuściwszy się na ziemię, ku temu miejscu się posuną. Nie

uszedłem jednak dwudziestu kroków, gdy już usłyszałem przed sobą łopot skrzydeł i to charakterystyczne skrzeczenie bijących się kogutów. Rzuciwszy worek i śniegowce, zacząłem podchodzić. O parę kroków przedemną poczynał się już wysoki las, ale stok góry, załamujący się nagle, dozwolił mi tylko małą przestrzeń okiem objąć. Nieco na prawo leżał powalony potężny świerk a w koło niego bielał duży płat śniegu. Poza nimi zaś lekkie wyżłobienie terenu, spuszczało się ku dołowi. Z tej strony gdzieś odzywały się głuszce.

(C. d. n.)

Konstanty Kownacki.



ALBERT MNISZEK.

Przegląd naszych ptaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Błotniaki.

(Circinae, Weihen)

1. **Błotniak stawowy** sokół wodny, kania mała, (*Circus aeruginosus vel rufus, die Rohrweihe*).

Naokołu oczu rodzaj szlary koloru białawego, drobno, brunatno upstrzonej.

Fig. 8.



Głowa jasna odbija od ciemnego całego korpusu, czem różni się wybitnie od innych drapieżników.

Długość ciała wynosi 50 do 56 cm, skrzydła złożonego wyżej 40 cm. ogona 39 do 42 cm.

Stary samiec ma wierzch głowy białawy, upstrzony brunatnemi kreskami, brunatny płaszcz, środek złożonego skrzydła siwy, ogon białawy, spód kasztanowaty, płowo upstrzony. Tęcze pomarańczowe, nogi i woskówka żółte.

Stara samica ma głowę po bokach brunatnawą, zaś z wierzchu białawą, taki sam podbródek, płaszcz czerwonawo brunatny, brak siwizny na skrzydle.

Młody ptak w pierwszem pierzu jest jednostajnie ciemno brunatny z wierzchem głowy, a często i gardzielą płową, z takąż pstrociną na wysokości oczu.

Błotniak ten, jak i wszystkie inne, jest ptakiem przelotnym. Zamieszkuje całą Europę a na zimę ciągnie do północnej Afryki.

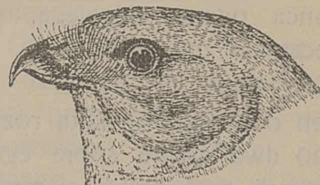
U nas zjawia się dość późno, bo w połowie kwietnia, a z końcem sierpnia już zabiera się do odlotu.

Gniazda ścieli na ziemi, w gęstych zaroślach łozowych lub trzcinach. Jaj znosi 4 do 6 biało-zielonawej barwy.

Ptak to pospolity w okolicach obfitujących w jeziora i stawy. Żywi się żabami, myszami, drobnymi ptakami, również wyjada pisklęta i wypija jaja kaczek i gęsi dzikich. Jest więc szkodnikiem *i powinien być bezwzględnie tępiony.*

2. **Błotniak zbożowy**, kania biała, jastrząb błękitny (*Circus cyaneus, Die Kornweihe, (fig. 9.)* Naokoło oczu niewyraźna szlara, skrzydła złoż. od ogona znacznie krótsze. Długość ciała: 43 do 48 cm, skrzydła złoż. 34 do 39 cm, ogona 23 do $27^1/_2$ cm.

Fig. 9.



Stary samiec z wierzchu popielaty, na piersi i brzuchu biały, takież nogawice i pióra podogonowe. Lotki są czarne. Ogon niepręgowany. Tęcze, nogi i woskówka żółte. Stara samica różni się od samca szaro brunatnym wierzchem, spodem białawym, ciemno szaro upstrzonym, głową, która ma po bokach i od przodu wyraźną, jasną smugę, tudzież ogonem o wyraźnych 4 ciemnych pręgach.

Młody ptak różni się od samicy starej, spodem bardziej rudawym.

Ptak ten zamieszkuje Europę i Azyę północną. Zimuje w Afryce, Indyach i Chinach. Do nas przylatuje z początkiem marca i bawi do zimy. Niektóre egzemplarze zimują. Gnieździ się na ziemi w zaroślach łozowych, w krzakach wśród łąk i zbóż.

Sposobem życia nie różni się prawie od poprzedzającego i tak jak tamten, *powinien być tępiony.*

3. **Błotniak popielaty.** *(Circus pygargus, Die Wiesenweihe).* Nieco od poprzedzającego mniejszy, zabarwienie ogólne podobne do poprzedzającego. Stary samiec ma rudawe, podłużne kreski na spodzie ciała i nogawicach. *Czarna smuga przez środek złożonego skrzydła.*

Samice i młode do poprzedniego gatunku tak podobne, że prawie nie do odróżnienia.

Można je poznać jedynie po odmiennem, niż u poprzedzającego gatunku, wycięciu lotek. Tęcze, nogi i woskówka żółte. Ojczyzną jego Europa, po 60^0 szer., północna i środkowa Azya. Zimuje w Afryce. U nas w jesieni pospolitszy aniżeli na wiosnę.

Ze sposobu życia do poprzedzających podobny, *zasługuje na tępienie.*

4. **Błotniak blady.** (*Circus macrurus, Die Steppenweihe*).

Z ubarwienia bardzo do poprzednich podobny. Blado popielaty, ma spód i nogawice białe. Cechą jego są pióra nadogonowe, które są białe i popielate, w poprzek pręgowane.

Samice i młode, od tych samych poprzedzających dwu gatunków, bardzo trudne do rozróżnienia. Nogi, woskówka i tęcze żółte. Długość ciała 44 do 46 cm, skrzydła złoż. poniżej 40 cm., ogona 21 do 23 cm.

Błotniak ten jest mieszkańcem południowej Europy i zachodniej Azyi. Na zimę odlatuje do Afryki i Chin.

U nas jest ptakiem rzadkim, — w Galicyi jednak częściej, niż gdzieindziej w Polsce spotykany, gdyż w muzeum im. Dzieduszyckich jest 5 egzemptarzy samców tego gatunku, w rozmaitych stronach naszego kraju zabitych, gdy w Królestwie polskiem jedyny egzemplarz dotąd zastrzelono i właścicielem tego unikatu jest warszawskie muzeum hr. Branickich.

Z obyczajów do innych błotniaków podobny, taki sam, jak i tamte szkodnik, z powodu jednak swej rzadkości, nie może wywierać zgubnego wpływu na rozwój użytecznego ptactwa.

Myszołowy.

(Buteoninae, Bussarde).

1. **Myszołów zwyczajny**, kaniuk, myszołówka, jastrząb myszy. (Buteo buteo, Der Gemeine oder Mäusebussard). Głowa duża, szeroka, suto upierzona, skrzydła złożone do końca ogona sięgające, ogon o 10 do 14 wąskich, poprzecznych pręgach, skok nagi. Nogi żółte, szpony słabo rozwinięte.

Gatunek ten odznacza się taką rozmaitością w ubarwieniu, że trudno dwa równe sobie egzemplarze znaleść. W ogólności wierzch tego ptaka ciemno brunatny, z rozmaitą domieszką kolorów szarych lub rudawych, spód ciała taki sam, lecz najrozmaiciej upstrzony, rudo, płowo lub biało. Nogawice są albo jednostajnie ciemno brunatne, albo też rdzawo lub płowo falowane. Ogon ciemno pręgowany. Tęcza ciemno brunatna, woskowka i nogi żółte. Długość ciała: 52 do 57 cm., skrzydła złożonego: 30 do 44 cm., ogona 23 do 36 cm.

Myszołów zwyczajny jest mieszkańcem całej zachodniej i środkowej Europy. Na zimę częściowo na południe odlatuje. Gnieździ się w lasach po drzewach i znosi 2 do 4 jaj biało zielonawych, rozmaicie upstrzonych.

Myszołów zwyczajny *jest jednym z najpożyteczniejszych* ptaków krajowych i jako taki znajduje się we wszystkich cywilizowanych państwach pod opieką prawa.

Pożywienie jego składa się wyłącznie z myszy, żab, jaszczurek i większych owadów, także i z mniejszych ptaków w chorym stanie, gdyż z powodu swej ociężałości zdrowych chwytać nie może. *Ptak ten na bezwzględną zasługuje ochronę.*

2. **Myszołów północny,** myszołów włochaty, jastrząb zimowy, kaniuk (Archibuteo lagopus, der Rauhfussbussard). Głowa duża, szeroka, suto upierzona, skok po same palce upierzony z wyjątkiem wąskiej, nagiej smugi w tyle, widocznej po rozchyleniu piór. Ogon czysto biały od nasady do połowy, zwykle z końcową, ciemną, poprzeczną pręgą.

Ubarwienie co do szczegółów rozmaite, ogólnie zaś pstre, w kolorach białych, kremowych, brunatnych, płowych i rdzawych. Plecy są brunatne, z białem i płowem obrzeżeniem piór.

Nogawice płowe lub rudawe, podłużnie kreskowane Podogonie czysto białe lub kremowe. Tęcza ciemno brunatna, woskówka i palce żółte. Długość ciała: 52 cm., skrzydło złoż.: 45 do 46 cm. ogon: 24 do 27 cm.

Myszołów ten zamieszkuje północne obszary stałego lądu, skąd na zimę na południe ciągnie. W zimie najpospolitszy może u nas ptak drapieżny. Przylatuje do nas w początkach października, a z końcem marca lub w początkach kwietnia już na północ odlatuje.

Pożywienie jego jest ściśle takie same, jak i poprzedniego, zdarzają się jednak nadzwyczajnie rzadkie wypadki, szczególnie wśród ostrych i śnieżnych zim, że złowi czasem bażanta lub kuropatwę. Ptak ten jednak tak wielkie usługi oddaje rolnictwu, *że należy mu się bezwzględna ochrona i stoi pod opieką prawa.*



„ŁOWIEC POLSKI“.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE

1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

16. sierpnia. O kwadrans na 7-ą rano budzi nas Guy, aby pokazać nam górę Kenię! Jest to urwisty szczyt, wznoszący się z imponującej podstawy. Bardziej ku południowi widać doskonale Kinankop.

O pół do 8-ej wyruszamy w drogę, mając za przewodnika Ongwatochę. Doprowadza on nas do Pacey-Swamp, zamiast do miejscowości, oznaczonej na obozowisko. Nareszcie Guy odnalazł ślady karawany, z którą możemy się złączyć. Wszędzie widać mnóstwo tropów wielkich antylop (elands) i nosorożców. Spostrzegamy wielkie stado m'palahów (*Epyceros melampus*) i kobów. Podczas śniadania dokucza nam strasznie upał, lecz burza szybko nadciąga. Zdaje się nawet, że jest ich dwie, a my znajdujemy się w punkcie ich spotkania. Trudno jest sobie wystawić skutki tej nawałnicy. Namiot Henryka został zamieniony na prawdziwą kąpiel, a wszystkie ognie zagaszone. Lepiej byłoby zapomnieć o tych wszystkich szczegółach, gdyby na rozkładzie nie było jednego m'palaha i jednej gazeli Granta.

17. sierpnia. Ja pozostaję w obozie, gdy Guy udaje się w pościg za 15 elandami *(Taurotragus oryx)*, aby po dłuższym czasie przekonać się, że są to same samice, z których jedna posiada wspaniałe rogi. Trzymał on ją na celu przez kwadrans na odległość 100 mtr. Spostrzegłszy stado oryxów (*Orys beisa*), złożone z czterech sztuk, puszcza się za nimi, rani ciężko jednego z nich, lecz wkrótce gubi jego tropy. Podczas tej wycieczki widział mnóstwo antylop Thomsona, antylop Granta, m'palahów, szakali, phacocherów, żórawi czubatych, marabutów, lecz przyniósł do obozu tylko jedną antylopę Granta.

Próbuję zastawiać potrzaski na ptaki, lecz taka jest obfitość szarańczy, że nic złapać nie mogę. Szarańcza ukazała się w postaci różowego obłoku, który dziwnie odbija na ciemno-szarem tle chmur burzowych.

18. sierpnia. Rysuję dziś jedno z drzew przy naszym obozie. Jest to jeden z najbardziej udałych okazów kolczastej roślinności. To też widać na niem mnóstwo gniazd; ptaki wiedzą doskonale, gdzie lokować swoje jaja i młode.

Guy powraca z wyprawy. Strzelał dwukrotnie bez skutku do rekordowej antylopy Granta, zabił jedną antylopę Thomsona, postrzelił inną antylopę Granta i uganiał się napróżno za czubatymi żórawiami i marabutami. Spotkał on także to samo stado elandów, do którego przyłączył się stary samiec, lecz miał go do tyłu na odległość 250 metrów. Widział też postrzelonego przez siebie oryxa. Na rozkładzie, oprócz antylopy Thomsona — jeden strepet i jeden steinbuck (*Raphiceros campestris*).

19 sierpnia. Zajęłam się ptakami. Misyonarz odnalazł dziś piękny okaz antylopy Granta, ranionej dnia wczorajszego przez Guy'a. Mąż mój wraca, zabiwszy servala (duży gatunek dzikiego kota) i zająca, które rulował śrótem Nr. 00 prawie w dublecie. Nasi myśliwi ucierpieli od

deszczu jeszcze więcej, aniżeli my. Guy widział znów te same trzy oryx'y, lecz z powodu znacznej odległości (200 metrów) chybił do nich. Czwartego brak było w tem stadku. Natomiast mamy dzisiaj jeszcze na rozkładzie piękny okaz wielkiej antylopy sing-sing *(Cobus defassa)*, którą nasi tragarze z trudnością wyciągnęli ze strumienia, dokąd poszła wydać ostatnie tchnienie.

20 sierpnia. Guy z misyonarzem udają się, jak zwykle, na wycieczkę myśliwską. Pierwszy powraca misyonarz, ubolewając, że widział nosorożca z pięknymi rogami, do którego na nieszczęście Guy nie mógł strzelać. Mąż mój przybywa o 4-ej z zamiarem wyruszenia po zjedzeniu lekkiej zakąski. Tropiąc postrzelonego kota, spotkał się z nosorożcem o słabych rogach, który nań szarżował, lecz nie strzelał do niego, mimo panicznego strachu Kasaby, który trząsł się na całem ciele. Według zdania Guy'a, nosorożec nie jest straszny, jeśli tylko niema sprzyjającego wiatru, gdyż łatwo jest wtedy uniknąć szarży.

Oglądając antylopy Thomsona i Granta, zabite tego dnia, przychodzi nam na myśl zaciągnąć jedną z nich nad brzeg strumienia, jako przynętę na lwy, które misyonarz słyszał ubiegłej nocy. Wykonywamy to wraz z Henrykiem, co mi daje sposobność widzenia po raz pierwszy, papirusów. W tymże czasie odgrywała się scena epiczna w obozie. Wakambasy, wybrani dnia tego na tragarzy, uznając widocznie chwilę za nieodpowiednią, odmówili posłuszeństwa. Guy kazał im skonfiskować ich kołdry i ryż, i pobiegł ku nim ze swym „kikobo“. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, umknęli, ale za to ten jeden miał się z pyszna. Poczem Guy wyruszył wraz z misyonarzem o godzinie pół do 5-tej. W dwie godziny potem usłyszeliśmy radosną fanfarę, zwiastującą śmierć jakiegoś zwierza, a wkrótce potem myśliwi opowiedzieli nam swoje przygody.

„Ponieważ nie znaleziono tropów nosorożca w miejscu, gdzie je widział poprzednio misyonarz, postanowili spróbować szczęścia na oryx'ie, którego spostrzegli w oddali; lecz podchodząc go, ujrzeli nagle... dwa nosorożce na jakie 500 metrów ze złym wiatrem. Zaczęli więc okrążać je, aby się zbliżyć na 100 metrów z dobrym wiatrem. Guy przyjrzał im się przy pomocy lornety i spostrzegł, że większy ma piękne rogi, drugi zaś mniejszy, miał rogi niewielkie, ale grube. Oba te gruboskórce łamały krzaki, aby się dostać do młodszych, delikatniejszych pędów, i w ten sposób przechodziły od jednego krzaka do drugiego. Guy zbliżył się na 40 metrów, nie zachowując żadnych środków ostrożności, a mimo to zwierzęta nie zdradzały najmniejszego niepokoju. Wówczas Guy strzelił do większego. Zwierz ruszył kłusem ku myśliwym, lecz druga kula ścięła go z nóg i zwierz runął, jak martwa masa. Towarzysz jego zaczął biegać wokoło, wydając groźne pomruki. Ponieważ strzelony nosorożec unosił jeszcze zlekka głowę, więc mu Guy posłał jeszcze jedną kulę w krzyże, która mu zgruchotała kręgosłup (pierwsza z trzech kul była niedobra, gdyż przeszyła brzuch, zatrzymując się pod skórą z przeciwnej strony). Nasi myśliwi, bojąc się, że ich noc zaskoczy, a ciekawi zobaczyć zblizka swoją zdobycz, zawołali na swych trzech tragarzy, a wówczas z głośnym krzykiem, trzymając broń w pogotowiu na wypadek szarży, rzucają się naprzód. Znajdują się zaledwie o 20 metrów, gdy dopiero żywy nosorożec decyduje się odejść nieco, a myśliwi, mając go ciągle na oku, mogą wyegzaminować głowę zabitego, jego płeć (samica) i strzały. Ongwatocha nie zaniedbuje zrobić tak drogiego Mahometowi... „cięcia na gardle“.

Myśliwi przynoszą z sobą ogon, który mogłyby nadwyrężyć hyeny.

Całe to zdarzenie dowodzi tylko, że nosorożec nie jest straszny, jeśli się tylko jest z dobrym wiatrem. Na rozkładzie w d. 20 mamy oprócz nosorożca: 6 antylop Thomsona (samce i samice), 2 antylopy Granta (samce) i 2 steinbucki (samice).

21 sierpnia. Guy udaje się nad strumień, aby sprawdzić, co się stało z antylopą, położoną na przynętę, a znalazłszy ją nietkniętą, przychodzi do nas w chwili, gdyśmy byli zajęci preparowaniem nosorożca. Spotkaliśmy dziś jakieś zwierzę nieznane, ni to hyena, ni szakal; był to zapewne lykaon [1]). Miał on jedno ucho nadgryzione. Wzięliśmy się do ćwiartowania nosorożca i tym razem, skóra pocięta pod nadzorem misyonarza, zostaje spreparowaną doskonale. Nosorożec ten jest to wielka samica na zlęženiu; wymię jest nabrane mlekiem. Wyciągamy już kompletnie sformowanego noworodka, który nam daje drugą skórę.

Wracam do obozu, zabiwszy po drodze dwa drozdy błękitne z kasztanowatem gardłem *(Spreo superbus)*, jednego srokosza z czerwonym czubkiem i jednego prawdziwego wróbla. Idąc, spotkałem dziesiątki antylop Thomsona.

Guy tymczasem udał się na wycieczkę i wraca o pół do 3-ej, dobiwszy nareszcie swego oryx'a (samca). Miał on na grzbiecie głęboką obcierkę, jeszcze niezagojoną, zapewne od kuli z d. 17. sierpnia. Rana ta nie była śmiertelna, gdyż pocisk naruszył tylko zlekka krzyż pacierzowy, lecz dzięki tej kuli, biedny zwierz zrobił tak szalony skok w górę. Oprócz tego, Guy chybił do dwóch babuinów i zabił jedną antylopę Thomsona.

22 sierpnia. Wyruszamy z obozu o godzinie 8-ej rano, mając na lewo Parcey Swamp, a na prawo las, złożony z kolczastej roślinności. W jaskrawem słońcu błyszczą się jak szafiry, metalicznie ubarwione drozdy, które stadami kręcą się tu i tam. Ciągły widok antylop Thomsona, Granta, zebr, szakalów i małp, sprawia nam nie małą rozrywkę podczas marszu. Naraz słyszymy straszne krzyki poza sobą: to nasza karawana została zaatakowaną przez dwa nosorożce. Ludzie, niosący naszą łódkę, tak gwałtownie ją porzucili, że pękła w dnie jedna z desek. Spostrzegamy w dolinie przed sobą stado zebr, złożone z jakich 100 sztuk przynajmniej, a dalej jeszcze widzimy posterunek Rumuruti. Jest to pierwsza osada ludzka, jaką spotykamy od Naivashy, gdyż dotychczas przecinaliśmy krainę, zamieszkałą jedynie przez nomadów.

Przybywszy na miejsce, znajdujemy tu obozowisko pp. Bradley i Turner, dwóch bogatych amerykanów. Udajemy się do siedziby p. Gilkison'a, gdzie biedny misyonarz w gwałtownym paroksyzmie febry, literalnie pada na fotel.

P. Gilkison prosi nas koniecznie na śniadanie, w oczekiwaniu karawany, która ma rozbić obóz na brzegach Guaso-Narok, w pobliżu mostu, prowadzącego do przyszłego parku Rumuruti, dziś jeszcze w stanie dziewiczego lasu. Gdyż trzeba wiedzieć, że ten posterunek Rumuruti założony dopiero został w lutym r. b. O godzinie 5-tej wracamy na herbatę do p. Gilkison'a, gdzie spotykamy się z p. Bradley'em, przybyłym przed 15-tu dniami również z Pacey-Swamp'u. Przebywanie strumieni sprawiło mu wiele kłopotu z powodu krowy i cielęcia, które prowadzi wszędzie za sobą.

(C. d. n.)

---

[1]) Lykaon *(Lycaon pictus)* — zwierz pośredni między hyeną a psem. *(Przyp. tłom.)*.

Kilka uwag o wydawnictwie „Łowca Wielkopolskiego“.

Prawie bezpośrednio po przesłaniu do redakcyi „Łowca“ kilku uwag, które uważałem za stosowne skreślić, w sprawie tak nas żywo teraz zajmującej wprowadzenia do słownictwa myśliwskiego, swojskich polskich wyrażeń i usunięcia z używanej przez nas terminologii łowieckiej różnego rodzaju germanizmów, dostał mi się w ręce, zupełnie przypadkowo, Nr. 8. „Łowca Wielkopolskiego“, z 15. lipca b. r. W piśmie tem, wychodzącym dopiero od 1. kwietnia b. r. wyczytałem na str. 126. artykuł pochodzący od redakcyi, w którym oprócz różnych wycieczek skierowanych przeciwko naszemu organowi myśliwskiemu, dowiedziałem się ze zdziwieniem, ale i z wielką radością, że „Łowiec Wielkopolski“, pomimo krótkiego swego istnienia, stoi na równi z najpoczytniejszemi wydawnictwami tego rodzaju, mającemi po 20/m abonentów i na koniec co najważniejsze, że już w przeciągu roku, ma nadzieję, uporania się z dosyć trudną i zawiłą, jak myślałem kwestyą, nowego słownictwa łowieckiego i wyrugowania germanizmów. To oświadczenie szczególniej mi zaimponowało. Chcąc dokładnie zbadać, jakim sposobem, w tak krótkim stosunkowo czasie, dojść można do tak poważnego rezultatu, postanowiłem przestudyować całe dotychczasowe wydawnictwo „Łowca Wielkopolskiego“, żeby przynajmniej podpatrzyć i pouczyć się, jak się tamtejsi nasi koledzy zabierają do tak ważnej sprawy.

Zanim jednakże dostałem wszystkie numery „Łowca Wielkopolskiego“, przechodziłem myślą i pamięcią, dzieje i losy naszego poczciwego „Łowca Galicyjskiego“. Od czasu założenia Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego, jestem stałym jego członkiem, a od czasu osiedlenia się mego w Galicyi, przez długie lata, byłem członkiem wydziału, a tem samem u źródła dziejów naszego „Łowca“. Z początku, nie zawsze wesołe to bywały czasy. Jak dziecko, które zanim wyrośnie, przechodzić musi przez różne, tak nazwane dziecinne choroby, tak i „Łowiec“ często w swoim młodocianym wieku niedomagał. Bywały nawet prognozy, które mu niedaleką przyszłość przepowiadały, ale dzięki poparciu moralnemu i ofiarności ludzi dobrej woli, dzięki przeświadczeniu całej naszej drużyny łowieckiej, że jedynemu jak wówczas, wydawnictwu polskiemu, z dziedziny myśliwstwa, nie tylko, że upaść nie wolno, ale, że przeciwnie, z rokiem każdym wzrastać i udoskonalać się powinno, dziecko to nasze ukochane, z dnia na dzień lepiej się rozwijało, liczba członków Towarzystwa coraz więcej wzrastała i nareszcie „Łowiec“ nasz, już jako dwutygodnik, stanął na silnych podstawach i jak mi się zdawało, w stanie był odpowiedzieć celom, zadaniom i nadziejom, które w nim pokładaliśmy. Ale polskie nasze przysłowie powiada: „nadziejo, matko głupich“. Czyż ono w tym wypadku nie jest prawdziwem? Na co się przydały wszystkie nasze zabiegi, walki i starania, kiedy oto przychodzi na widownię świata myśliwskiego, wydawnictwo, od razu zdrowe i silne, które jak cudowne jakieś dziecko, kategorycznie zapowiada, że w przeciągu jednego roku, załatwi się ze sprawami, które my na wiele dłuższy czas sobie rozkładamy i które już po kilkumiesięcznem istnieniu, staje na równi z zagranicznemi wydawnictwami, które mają po 20/m abonentów. No darmo, pomyślałem sobie, widocznie biedny nasz „Łowiec“ przechodząc przez różne choroby, tak już ma organizm podkopany, że mu żadne lekarstwa i kuracye nie pomogą, na wydobycie ze siebie jakichś żywotniejszych sił; może zresztą uledz musimy prawu natury, które starym nakazuje ustępywać przed młodymi, dosyć, że niema co robić, bo jak Sienkiewicz powiada przez usta Zagłoby, „Łowiec Wielkopolski“, zapędzi naszego galicyjskiego w kozi róg, lepiej więc jak ów fatalistyczny rusiński chłop, ułożyć się spokojnie na tapczanie i powiedzieć sobie: „treba umyraty“.

W tem pesymistycznem usposobieniu, odebrałem nareszcie „Łowca Wielkopolskiego“, od N-ru 1. do 10-go. Przypadkowo rzuciłem okiem na Nr. 4, w którym, w końcowym ustępie, na str. 62. podpisanym przez p. Spychalskiego, wyczytałem zdanie: „zresztą, kto nie chce być wyśmianym przez prawdziwych myśliwych, kto jest miłośnikiem polowania, ten koniecznie z językiem łowieckim obeznać się powinien“. No, chwała Bogu, pomyślałem sobie, biorąc 1-szy Nr. do ręki, teraz przynajmniej człowiek będzie mógł przeczytać coś z dziedziny literatury łowieckiej, co będzie napisanem, czystą, poprawną polszczyzną, bez żadnych germanizmów i ponieważ wydawnictwo przeznaczone jest dla szerszego grona czytelników, z możliwem wystrzeganiem się prowincyonalizmów.

Z początku jakoś nie mile mnie to dotknęło, że nasz protoplasta Nemrod, „wielki łowiec przed Panem“ przekształconym został na germańskiego *Nimroda.* To jeszcze nic, pomyślałem, bo przecież śp. Nemrod, nigdy nie był oficyalnie kanonizowanym polskim świętym, niechże więc będzie sobie kosmopolitą. Ba, kiedy na str. 5, spotkałem jakiś *sztafaż stad sarn*, *odgłos tokujących głuszczy*, *rogi niewyrosłych spisaków i jakieś drapieżniki skrzydlate*, *zaglądające do izb i odgryzające drobiazg!* Idąc dalej w tym samym artykule, z przykrością się dowiedziałem że nasza nowoczesna literatura łowiecka, z zaszczytnym wyjątkiem hr. Józefa Potockiego i po części Henryka Sienkiewicza, nie posiada żadnej wybitnej osobistości, o którejby warto wspominać. No proszę! A ja dotychczas święcie byłem przekonanym, że hr. Kazimierz Wodzicki, Ubysz, Spausta, Łoziński, hr. Leopold Starzeński, Bartels, więcej pisywali w sprawach odnoszących się do dziedziny literatury łowieckiej, aniżeli np. o sztucznem nawodnianiu łąk, lub o krzyżowaniu merynosów z rambouilletami. Na boku, tak gdzieś na szarym końcu, chciałem dodać jako skromny przyczynek do literatury łowieckiej, także i naszego „Łowca“, ale zaniechałem tego zamiaru, bo nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wyczytał w nim, o *rewirujących psach*, *o rozkładzie rogów*, lub opisie polowania na króliki z *fretkami.*

Opis polowania na słonki, str. 10—12 pouczył mnie także dosyć ciekawych szczegółów. Dowiedziałem się bowiem, że trzeba *się ustawić w odpowiedniem miejscu*, *oddać strzał do anonsującej się słonki bezzwłocznie*, psa zaś trzeba trzymać *jak najkródzej*, bo słonka, która się zrywa *z trzepotem*, *przypominającym psa strzepującego słuchy*, zwykle nie *zapaduje* daleko!

Po przeczytaniu 1. Nru jakoś mi się zrobiło niewyraźnie, ale czytałem dalej. W Nrze 2. znalazłem opis jakiegoś strasznego zagranicznego polowania, na którem strzelano do razem spędzonych jeleni i *krów*, które *w następstwie*, *otrzymywały kule i w miejsce wizerowanych ginęły.* Na szczęście i na uspokojenie moich silnie tym opisem wzburzonych myśliwskich nerwów, znalazłem na str. 46 N-ru 3. sprostowanie, że wyrażenie krowa, mylnie w tym

wypadku zostało użytem, zamiast łania, bo krowa jest żeńskim osobnikiem łosia. To jakoś dziwne; bo krowa jest prawowitą małżonką byka, czyli buhaja, a łosia „feminini generis“, nazywaliśmy, łoszą, łoszycą, albo poprostu klempą, ale może być, że to jest tylko prowincyonalizm, który nabyliśmy z Litwy albo zapadłego Wołynia. Na str. 28-ej tego samego Nru 2, dowiedziałem ku wielkiemu memu zdziwieniu, że kozice teraz brodę noszą. Prawda i to, że moda bywa bardzo kaprysną i jeżeli nasi młodzi ludzie dla mody, golą cały zarost twarzy, nie wyłączając wąsów, to czemużby kozica, nie miała, wobec trudności wynalezienia odpowiedniego golarza, zapuścić brody. Myśl ta jednakże nie dawała mi spokoju i nic nikomu nie mówiąc, poszedłem do muzeum Dzieduszyckich. Są tam samce, samice, koźlęta; przypatrywałem się im z przodu, z tyłu, z boku, ale dalibóg że u żadnej nie widziałem brody. A może też to tylko dlatego, że nasze Tatrzańskie kozice innej hołdują modzie, jak te, o których wzmiankuje „Łowiec Wielkopolski“. Natomiast z wielką przyjemnością dowiedziałem się z działu ogłoszeń, że *najlepszą i najulubieńszą patroną bezdymną, jest marka Fasan*. Ba ale cóż z tego, kiedy jak wyczytałem na str. 96. Nru 6-go, trzeba używać tylko twardego śrutu, bo miękki wyszedłby *z flinty bardziej zrampowany*. Obiecuję wystarać się o konia z rzędem, dla tego, kto mnie pouczy o pochodzeniu i znaczeniu tego wyrażenia. Zawstydziłem się niepomiernie, że byłem zupełnym ignorantem, co do *zwierząt lotnych*, str. 110 Nru 7-go. Za bardzo dla mnie dawnych, bo jeszcze gimnazyalnych czasów, śp. Jabłoński, profesor zoologii, kładł łopatą w nasze młodociane łby, że nauka ta dzieli boskie stworzenia, na zwierzęta czworonożne, ptaki, ryby, gady płazy i t. d. i t. d., ale zato profesor chemii Rodecki, zamęczał nas lotnością gazów. Jednakże prawdą jest, że nauka olbrzymie od tej pory poczyniła postępy i że teraz skraplają i przeistaczają na ciała stałe gazy, o których się dawniej ludziom nawet nie śniło, czemużby więc miało być zabronionem „Łowcowi Wielkopolskiemu“, przeistoczenie zwierzyny stałej i osiadłej na lotną.

Na N-rze 10. skończyłem, odsapnąłem i popadłem w głęboką zadumę. I długo tak dumałem. Nie mogłem pokombinować owych zarzutów nam czynionych, tych sprzeczności między głoszoną teoryą a jej zastosowaniem, między słowem a pismem, aż nareszcie wykrzyknąłem Eureka! Tak jest znalazłem, teraz mam wszystko jak na dłoni, teraz dopiero pojąłem cały ukryty cel. Proszę tylko posłuchać, jak to wszystko dowcipnie obmyślane. „Łowiec Wielkopolski“ ma nadzieję do roku załatwić ostatecznie sprawę wynalezienia i oddania do użytku słownictwa i terminologii łowieckiej, czysto polskiej. Ale nim to nastąpi, zapełnia swe wydawnictwo, wyrażeniami, prowincyonalizmami i germanizmami, celem wykazania swoim czytelnikom, że tak się mówić, pisać i drukować nie powinno. Skoro zaś sprawa będzie już ostatecznie załatwioną, dla urwania raz na zawsze łba hydrze, wyda manifest albo raczej ukaz, mocą którego, pod karą plag, albo grzywny, zakazanem będzie używanie tych wszystkich cudacznych, zamorskich wyrażeń. I tak bez hałasu, bez awantur, będzie „Roma locuta, causa finita“.

Tak, ale dla nas jeszcze nie zupełnie finita, bo pozostają zarzuty, które odeprzeć musimy. A zatem, do broni zacni *Nimrodowie* z pod szlachetnego znaku św. Huberta, dajcie na razie spokój sportowi strzelania *kotów, kur*, i nawet *głuszczy;* niechaj każdy dzierży w dłoni, ulubioną *flintę, fuzyę* lub *sztucer* i zaopatrzony w *najlepszą patronę, ustawiwszy się stosownie*, niech dobrze *wizeruje*, niech *oddaje strzał* na strzał nieprzyjaciela! A wy wszyscy autorowie, pisarze, redaktorowie i drukarze, naszego poczciwego, starego „Łowca“, trzymajcie przed sobą *tarcz* dla odparcia razów, nie dajcie się *zramponować*, a może kiedyś *trofeją* naszą będzie, że i my staniemy na równi z wydawnictwami, które mają po 20/m abonentów.

Na zakończenie słów kilka, w odpowiedzi na zarzuty, robione przez redakcyę „Łowca Wielkopolskiego“, redakcyi naszego „Łowca Galicyjskiego“. Pierwszym zarzutem jest, że w rocznem zestawieniu rachunków, podaną jest jedynie cyfra koron, osiągniętych za abonament, a niewiadomą jest cyfra abonentów, czyli członków. Dla zaspokojenia tej ciekawości, ponieważ na każdej okładce naszego „Łowca“, jest wydrukowane, że wkładka roczna członka Towarzystwa Łowieckiego, a tem samem i abonenta, wynosi 10 koron, 10 marek, 5 rubli, wystarczy dla osiągnięcia pożądanego rezultatu, podzielić ową ogólną cyfrę, przez 10 albo 5. Drugi zarzut polega w tem, że nasz „Łowiec“ nie jest ilustrowanym, gdy tymczasem „Łowiec Wielkopolski“, wydrukował na swojej okładce, że jest dwutygodnikiem ilustrowanym. Może ten zarzut jest słusznym, bo nie jesteśmy w stanie ani w możności, nietylko dojścia do doskonałości, ale nawet rywalizowania z takiemi zagranicznemi wydawnictwami, jak np.: „Sporting and Dramatic News“, ale pozostawiam sądowi naszych polskich myśliwych i czytelników, czy nie robi przyjemniejszego wrażenia, widok jakiejś sceny lub wypadku przytrafiającego się na polowaniu, rogów, rożków i t. p., oddanych wiernie z klisz nadesłanych naszemu nie ilustrowanemu „Łowcowi“, przez któregoś z kolegów amatorów-fotografów, aniżeli oglądanie w „Łowcu Wielkopolskim“ ilustracyi, które się przed rokiem lub dawniej widziało w różnych „Wild und Hundach“, jak np. ów niemiecki „Oberförster“ ze swoją klasyczną brodą i „Abgusspfeife“, na str. 42-ej, lub myśliwy wabiący kozła na str. 133, w polskich butach, angielskim kapeluszu i z niemieckim Rucksackiem na plecach, nie mówiąc o innych ilustracyach, które nie tylko w różnych wydawnictwach, ale już oddawna na pocztowych widokówkach spotykaliśmy. A bywa także i tak, że jak np. w Nrze 9. ilustrowane wydawnictwo oprócz winiet, nie umieszcza żadnej ilustracyi.

Nie będę powracał do kwestyi słownictwa łowieckiego i polskiej terminologii, bo o tem może zbyt obszernie się rozpisałem, a przechodzę do ostatniego zarzutu, braku koleżeństwa względem „Łowca Wielkopolskiego“. Chociaż przypuszczam i jestem nawet pewnym, że nasza redakcya czuje się na siłach i posiada dosyć rzeczowych i silnych argumentów, żeby się módz sama obronić, dla mnie, to milczenie, które zachowuje, właśnie jest dowodem koleżeństwa, bo „ex cathedra“ i oficyalnie, nie chciała dotknąć tych wszystkich kwestyi błędów i sprzeczności, które zresztą tak samo jak i ja, nie proszony, nie pytany, a może i nie powołany, widzieć musiała i o których jedynie tylko z poczucia koleżeństwa i pobłażliwości dla młodszego kolegi, od 1. kwietnia b. r. przemilczała.

Ponieważ redakcya „Łowca Wielkopolskiego“, nie tylko upoważnia, ale prosi o krytykę i radę, pozwolę sobie dać jej tylko jedną; a mianowicie: niech zmieni swojego korektora, bo nie wiem, czy mi się kiedy przytrafiło spotkać w wydawnictwie polskiem, na 160-ciu stronicach, tyle błędów gramatycznych, ortograficznych i drukarskich.

Pod adresem czytelników naszego galicyjskiego „Łowca“ powiem, że jeżeliby mnie kto posądził o złośliwość, lub zbytnią przesadę, niech sobie przeczyta uważnie „Łowca Wielkopolskiego“, od N-ru 1. do 10-go, a przekona się dowodnie, czy w cytowanych przezemnie ustępach i wyrażeniach, jedno słówko zmieniłem lub dodałem.

Lwów, we wrześniu 1907.

Stefan Szembek.



Korespondencye.

Żurawno, w sierpniu 1907.

O przepiórce. — Nie mam zamiaru rozwodzić się nad historyą naturalną tego miluśkiego i najmniejszego kurczaka, — opisywać jego wielkości, upierzenia, sposobu życia i t. d., bo to wszystko jest każdemu myśliwemu zbyt dobrze znane, a przecież ten uroczy ptaszek, którego każdy legawiec z taką lubością wystawia i aportuje, że go czasem z wielkiej rozkoszy przy aportowaniu pogryzie, a nawet połknie, ma pewną tajemnicę, którą właśnie nas w tym roku zadziwił i sprawił myśliwym, smakoszom i gospodyniom, niewymowną rozkosz.

Przepowiednie myśliwych nie sprawdziły się!

Przepiórka, którą prawie za wymarłą uważano, a której przed laty już przepowiadano, że wkrótce będzie należeć do tradycyi, pojawiła się u nas w tym roku w takiej ilości, w jakiej jej od lat kilkunastu nie widziano.

Zastanowić się musi każdy myśliwy, który w latach ostatnich uważał za szczęście, gdy udało mu się do kilkunastu bażantów lub kuropatw parę przepiórek przytroczyć, skąd się te ptaszki po takiem mokrem lecie, jak było przedostatnie, — które bezwątpienia musiało bardzo ujemnie na rozmnożenie ich wpłynąć — znowu wzięły.

Wiadomem jest, że słonki pojawiają się w większej lub mniejszej ilości na wiosnę i w jesieni, zależnie od tego, jakim szlakiem ciągną, a szlak ten zależnym jest od stanu atmosfery, a to czy ich zima wyprze ze wschodu na zachód, czy z zachodu na wschód, lub wiosną od zachodu znęci na zachód czy też odwrotnie.

Co jednak spowodowało przepiórki, że u nas się zatrzymały, jest zagadką; przypuszczać należy, że wczesna wiosna na południu pobudziła przepiórki do wczesnego rozbicia się w parki, a późna wiosna dalej na północy i brak wszelkiej wegetacyi tamże, jeszcze w maju spowodowała przepiórki, że przeleciawszy łańcuch Karpat, u nas pozostały, rezygnując z dalszej podróży na mniej gościnną północ.

A może też św. Hubert z panią Dyaną chcąc wynagrodzić nam biednym myśliwym krzywdy jakie nam zima wyrządziła, niszcząc kuropatwy, spędził przepiórki z połowy świata, aby w tym kawałku jako rekompensata tu zostały i tu się gnieździły.

Nie podejrzywam przepiórek o zazdrość lub zmysł muzykalny, bo chyba nie dlatego do nas zawitały, że nie potrzebują się czuć pokrzywdzonemi, iż się cieszymy zbytnio kuropatwami, alboby miały nie znosić nie sympatycznego dla ucha muzykalnego, „czerryk“.

W każdym razie powinni panowie ornitologowie nałamać sobie trochę głowy, by to wyjaśnić lub wykazać, które kraje są w tym roku uboższe w przepiórki *).

Józef Stary.

Lwów, we wrześniu 1907.

Z wielkiem zajęciem odczytałem w ostatnim numerze „Łowca“, artykuł wstępny w sprawie słownictwa łowieckiego. Robi mi to wrażenie, jak gdybyśmy nareszcie na seryo zaczynali myśleć o wprowadzeniu do naszej terminologii myśliwskiej rodzimych, polskich wyrażeń. Na chwilę nie wątpię, że sprawa ta zainicyowana przez ludzi fachowych, za współudziałem całej drużyny naszych łowców, w czem sądzę, że kwestyonaryusz o którym jest mowa w zacytowanym artykule, proponowany w formie podanej przez redakcyę „Łowca“, ale kwestyonaryusz oparty na zasadzie ugrupowania zwierzyny, przyborów myśliwskich i wogóle całego sposobu polowania, wielkie może oddać usługi — doprowadzi nas w czasie i przestrzeni do pożądanego rezultatu. W każdym jednak razie sądzę, że przed ostatecznem zatwierdzeniem jakiegoś nowo wynalezionego wyrazu przez ustanowiony areopag, powinna być dopuszczona krytyka i rada szerszego grona myśliwych, żeby nam przypadkiem jakiś zagorzały purysta nie zechciał narzucić terminologii myśliwskiej, w gatunku próbowanych swego czasu na innem polu deszczochronów, cichołazów, lub głowokryjków, które zaraz po narodzinach, marnie zginąć musiały pod brzemieniem komizmu.

Zastanawiając się nad tem wszystkiem, doszedłem do przekonania, że sprawa ta zajmie jednakże sporo czasu, przyczem przyszła mi myśl, którą pragnę poddać pod rozwagę braci naszej w św. Hubercie, a mianowicie, czy nie byłoby przedewszystkiem wskazanem, a nawet koniecznem, żebyśmy, zanim wynajdziemy, zadecydujemy, i oddamy do użytku nowe wyrażenia myśliwskie, energiczną podnieśli krucyatę celem wyplenienia i odrzucenia raz na zawsze owej terminologii, wziętej przeważnie z języka niemieckiego, którą słownictwo nasze myśliwskie tak jest zachwaszczone, do której tak przywykliśmy, że bezwiednie i machinalnie się nią posiłkujemy, nie zwracając na to uwagi, że mamy natomiast nasze polskie wyrażenia, które w wielu wypadkach, daleko nawet dosadniej przedstawiają prawdziwą myśl wyrazu. Zdaje mi się, że nie będę posądzony o przesadę, jeżeli powiem, że myśliwy, który będzie sobie głowę suszył nad wynalezieniem odpowiedniego wyrazu polskiego dla Beihirscha albo Brunftplatzu, z całym spokojem ducha będzie opowiadał, że „stojąc na doskonałym wekslu w ostatnim doppeltrybie, mógł zrobić z drylinga tryplet, bo wyszedł na niego rudel z 8-iu sztuk sarn, w którym poznał i zabił dwa silne rogacze a do trzeciego nie strzelał, bo był słaby“. Owo określenie „silny“ albo „słaby“ znajduje szczególniej zastosowanie przy określaniu widzianych albo strzelanych jeleni. I tak nieraz słyszymy lub czytamy, że X. albo Y. zabił silnego jelenia a puścił słabego. Najsamprzód chciałbym wiedzieć, skąd ta pewność, że zabity jeleń był silnym, bo o tym fakcie mógłby poinformować strzelca chyba jedynie jaki żyjący kolega nieboszczyka, a następnie jeżeli puścił słabego, to jest to tylko dowodem złego serca, bo powinien był odesłać go, jako osobnika słabego, do jakiegoś szpitala jeleniego. Dla Niemca ein

---

*) W całej Galicyi jest w tym roku, jak się zewsząd dowiadujemy, wiele przepiórek *(Red.)*

starker Hirsch, przedstawia jelenia wielkiego, starego, grubego, a jeżeli już chcemy superlatywu, potężnego, dlaczegóżbyśmy więc nie mieli używać jednego z tych przymiotników, które daleko dokładniej określają to, co chcemy wyrazić, a nie trącą germanizmem. Pobereżnik, z którym od wielu lat chodzę w górach podczas rykowiska, nazywa każdego jelenia, do którego nie warto strzelać, „to drańcia“. Mając tyle innych przymiotników na określenie tego rodzaju jeleni, nie polecam tego wyrażenia, tem bardziej, że z germanizmu wpadlibyśmy w rusycyzm, (chociaż nie wiem, czy w obecnych czasach nie byłoby to dobrze widzianem), ale w każdym razie rozumiejąc o co chodzi, kto wie czy nie wolałbym owej drańci, zamiast „słabego“ jelenia, który dla mojej wyobraźni przedstawia jakieś biedne schorzałe zwierzę, ledwie wlokące za sobą nogami. Przypominam sobie przy tej sposobności, jak pewnego razu jeden z naszych towarzyszy myśliwych, Węgier rodem, ale od wielu lat osiedlony w Galicyi i silący się, żeby poprawnie po polsku mówić, odpowiedział na interpelacyę sąsiada, który go pytał, dlaczego nie strzelał do rogacza, że puścił go, bo zdawało mu się, że to „chora sztuka“. Pamiętam, co to było śmiechu i jak długo owa chora sztuka pozostała u nas w tradycyi; a przecież ów poczciwy Węgier żadnego grzechu nie popełnił, bo polując przeważnie z Polakami i słysząc ciągle o słabych sztukach, uważał może zupełnie słusznie, że słabość i choroba jest jednem i tem samem.

Albo też to co tak często słyszymy: „8. sztuk sarn“ jest to po polsku? Czemu nie powiedzieć 8. sztuk, albo 8. sarn, a używać wyrażenia żywcem wziętego z niemieckiego 8. Stück Reh.

A już też na miły Bóg, zarzućmy raz na zawsze i zapomnijmy nawet, że był u nas kiedykolwiek w używaniu ów nieszczęsny „Rudel“. To już nie jest germanizm przeszczepiony na naszej mowie, ale czysty niemiecki rzeczownik, który nie pojmuję nawet z jakiego powodu, bo z pewnością nie dla braku odpowiedniego polskiego wyrażenia, zyskał sobie między nami prawo obywatelstwa. Nie chciałbym być w skórze tego, ktoby w gronie myśliwych powiedział, że jadąc spotkał w polu wcale piękną „Kettę“ kuropatw. Suchej nitkiby na nim nie zostawiono, a dlaczegożby Ketta miała być gorszą od Rudla, o którym się tak często słyszy i czyta.

Nie obawiam się zupełnie, żeby uwagi moje w tej sprawie wypowiedziane, spotkać się miały z protestem, albo zbyt surową krytyką. Polując od lat dziecinnych przeważnie w kraju, a od bardzo, bardzo dawna w Galicyi, przypominam sobie te czasy, kiedy to na polowanie jechało się Forszpanami, strzelało się z Zündnadlówek, na Eckstandzie stał za myśliwym Büchsenspanner, a Treiberów prowadziło kilku Forstadjunktów, którzy potem przypilnowali, żeby Strecka była porządnie ułożona, z powodu znacznej ilości słonek brano przeważnie Rantryb, a nakoniec jeden Drucker w polu na zające. Niemiec nie rozumiejący słowa po polsku, słysząc Polaków rozprawiających o polowaniu, mógł się wówczas doskonale orjentować o co właściwie chodzi. Czasy te i wiele tym podobnych wyrażeń cudacznych, na szczęście, bezpowrotnie zginęły, w czem najlepszy jest dowód, że oddawna czuliśmy potrzebę zastąpienia w słownictwie myśliwskiem naleciałości niemieckich naszą, polską terminologią. Ale niestety pozostaje nam jeszcze bardzo wiele do zrobienia na tem polu, sądzę zatem, że teraz, kiedy coraz silniej ujawnia się między całą naszą falangą myśliwych prąd, dążący do zastąpienia obcych wyrażeń, nie istniejącemi jeszcze polskiemi, obowiązkiem naszym jest, w słowie i piśmie, przedewszystkiem pozbywać się tej terminologii, którą już obecnie, bez poszukiwań i dyskusyi zastąpić możemy naszą swojską i rodzimą. Jednem słowem, wymiećmy najprzód starannie nagromadzone śmieci z pokoju, w którym spodziewamy się przyjąć z upragnieniem oczekiwanych gości.

Stefan Szembek.



Słownictwo łowieckie.

D.

Daks, p. *jamnik.*

Damascenka albo dziwirówka, strzelba, której rura jest podobna do marmuru, w słoje. U.

Dawny zwierz, który na polowaniu najpierwej był ścigany od psów, np. *dawnego kota ogary gonią.* O.

Deka lub **Potrzas,** pokrycie wilczego dołu. U.

Dekiel, ta część w zamku u strzelby, która przykrywa panewkę, i o nią kurek skałką uderza. K.

Denko, część w *żelazie denkowem,* do której przywiązuje się przynęta. U.

Denkowe żelazo, łapkowe, stępowe lub **talerzykowe;** gatunek samołówki, która za nogi zwierza ujmuje, — składa się ze *sprężyny, chwatów, piesków* i *denka.* U.

Deptać, popęd płciowy zaspokajać, mówiąc o kaczkach dzikich. U.

Deska, gatunek samołówki na kuropatwy, którą zabijane bywają. U.

Dłoń, łodyga szeroka rogów łosia, z której *gałęzie* wyrastają. U.

Dłubać, mylić, źle gonić, mówiąc o psie. O.

Dłużce, rzemienie długie, które się ptakowi drapieżnemu w czasie polowania do nóg przywiązują, dla odciągnięcia jego nazad w miarę potrzeby. L.

Dmuchać, kiedy stado czarnej zwierzyny od psów nadybane, z przestrachu głos wydaje, np. *odyniec dmucha.* U.

Dobry, piękny, mówiąco zwierzach, np. *dobry lis.* U.

Dociekać, wypędzać z nory, np. lisy *dociekać.* U.

Docierać, kiedy pies dogania zwierza, np. chart *kota dociera.* O.

Dojeżdżacz lub **Objezdnik** p. *łowiec.*

Dolegać, przypaść do ziemi, mówiąc o kuropatwach.

Dół wilczy czyli **Wilkownia,** dół w ziemi wykopany wśród lasu lub w pobliżu jego, najczęściej przy drogach krzyżowych, służący do łapania wilków.

Dół niedźwiedzi czworoboczny, w ziemi wykopany, ośm łokci głęboki, cembrowany, przykrywa się suchemi, kruchemi gałęziami i darniną, a w środku na tej darninie kładzie się plaster miodu, po który, gdy się niedźwiedź posunie, nagle w dół wpada. U.

Doławiać, kiedy psy znajdą trop zwierza i gonią, np. ogary *kota doławiają.*

Dołek, gatunek samołówki, w ziemi wykopany, do łapania słowików służący. U.

Dołki na kaczki, kopią się jamki na łokieć głębokie i nieco szerokie, na brzegach wód blisko pola, gdzie posiana jest tatarka, dokąd kaczki w nocy na żer wychodząc, wpadają; a że dołki są ciasne, więc w nich skrzydłami się zawieszają, i z nich ani wyskoczyć, ani za pomocą skrzydeł wybić się nie mogą. U.

Dołów, skończenie łowu. U.
Donośny, dobry, mówiąc o charcie. U.
Dopracować, dogonić zwierza, mówiąc o psie. O.
Dosiadywać, kiedy zając na miejscu zostaje, choć słyszy głosy myśliwych. U.
Dostrzelić, powtórnym strzałem zwierzę postrzelone dobić. U.
Dotropić, p. *tropić.*
Dowabić, kiedy co będzie zwabionego, starać się bliżej przynęcić. U.
Dowodny, który na czele innych goni, mówiąc o ogarze. O.
Drapieżny zwierz albo **nieszlachetny** jest: niedźwiedź, ryś, wilk, borsuk, lis i t. p. K.
Drążek, kawał drzewa, którym się spinają kundysy po parze. U. 2. para, np. *drążek* kundlów. U.
Drążkować, kundle drążkiem spinać. U.
Drobny, mały, mówiąc o zwierzu, np. *drobne* ptaki. U.
Druczyć, głos wydawać, mówiąc d dzlerlatce. B.
Drygubica, Drugobica, sieć na ptaki stąd nazwana, że na średniej ścianie są oka małe, a na pobocznych obu ścianach oka wielkie, 15 łokci szeroka, 20 długa, średnia ściana wolna być powinna, aby ptak w niej mógł uwięznąć. U.
Dubeltówka lub **Dwururka,** strzelba dwururna. U.
Dudać, głos wydawać, mówiąc o dudku. B.
Dukt, wycięcie nie szerokie drzewa w lesie na przestrzał. U.
Dunst, śrót najdrobniejszy na ptaszki. U.
Dwururka, p. *dubeltówka.*
Dybać, kiedy wilk upatruje i skrada się, ażeby co schwytał. U.
Dym bażantowy, jest to rodzaj dymu bażantom przyjemnego, zwabiającego napowrót bażanty, które odleciały z bażantarni.
Dyndować, używa się tego wyrazu, mówiąc o biegu lisa, np. lis *dynduje.* U.
Dyszkant, zowie się najcieńszy głos psa gończego. O.
Dzierżyć, kiedy pies długo i rączo goni, np. ogar *dzierży* mocno *kota.* O.
Dziewanna lub **Ziewonija,** bogini łowów, była od naszych przodków czczona, podobnie jak od starożytnych Dyana.
Dzik, *porcus agrestis, der Eber, sanglier,* świnia leśna, która w stadzie chodzi; *sadlisty,* tłusty; *locha się,* popęd płciowy zaspokaja. *Odyniec,* dzik, który pojedyńczo błąka się. *Pojedynek,* dzik pomniejszy, odłączony od stada, 3 do 4 lat mający. *Odcinek, wycinek* lub *dwulatek,* który *odyńca* do stada nie przypuszcza. *Maciora, samura, locha,* dzika świnia samica. *Przelatek,* dzik w drugim roku. *Warchlak,* prosię, dopóki jednego roku nie skończy.
Dzikie pole, pustynia. L.
Dziryt, gatunek pocisku, który rzuca się na zwierzę. U.
Dziwocza sieć, gatunek sieci kliniastej, używanej na sokoły dziwoki. U.
Dziwirówka, p. *Damascenka.*
Dzwon, sieć na kuropatwy, 3 łokcie wysoka, w kształcie dzwonu. K.
Dzwonić lub **Mardać,** machać ogonem, mówiąc o psie. U.
Dzwonki, dzwoneczki, które przywiązują się ptakom drapieżnym do nóg, ażeby, kiedy odlecą, słyszanemi i łatwiej znalezionemi być mogły. K.

(C. d. n.)



Dział kinologiczny.

Cechy rasowe psów myśliwskich.

Wyżeł niemiecki szorstkowłosy.

1. *Wygląd ogólny.* Wysokość średnia (około 60 — 66 cm. miary zasadniczej) wyżlica nieco niższa, budowa silna lecz nie ociężała; poszczególne części przednich i tylnych członków w proporcyi między sobą i do kadłuba, w spokojnym chodzie, głowa i szyja miernie wzniesione, ogon najczęściej ukośnie ku górze wzniesiony, podczas tropienia więcej poziomo trzymany.

Wyraz ogólny poważny i roztropny; wyraz oka, z powodu krzaczystych brwi, wydaje się groźny.

2. *Głowa,* średniej wielkości (około 23 — 25 cm. długa) nie zbyt ciężka, chwyt (część twarzowa głowy) nie za krótki, więcej czworoboczny, nie spiczasty, wargi dobrze zwarte, spadają i tworzą gubę w kącie ust. Kość nosowa (grzbiet nosa) długa i szeroka, prosta, nigdy nie zgięta, odstęp przed czołem łagodnie wznosi się, nie występując nagle.

Górna część głowy lekko sklepiona, jak u krótkowłosego psa, szeroka, z boku widziana przedstawia w środku najwyższą część sklepienia, kość tyłogłowia nie zbyt silnie rozwinięta.

3. *Zwisy* (uszy) średniej długości, u góry nie za szerokie, u dołu tępo zaokrąglone, wysoko i równomiernie w całej szerokości osadzone, nie wysterczające zbyt daleko poza tyłogłów i możliwie bez zwijania się opadające z głowy gładko i gęsto.

4. *Oko* lekko owalne, średniej wielkości, pogodne, ani zbyt wystające, ani też za głęboko osadzone, powieki zawierają się szczelnie, barwa brunatna, przy jaśniejszem owłosieniu posiadająca jaśniejszy odcień, jednak nie żółtość oka ptaków drapieżnych.

Brwi silnie rozwinięte, krzaczyste, włosy w łuku brwiowym zwrócone na zewnątrz, odstające.

5. *Nos* rozdęty, o silnie rozwiniętych muskułach, wedle ubarwienia włosa ciemno lub jasno brunatny. Dwunos niedopuszczalny.

6. *Szyja* średniej długości, silna, przy karku lekko zgięta, rozszerza się stopniowo ku dołowi do pełnej szerokości piersi, bez wola.

7. *Pierś i klatka piersiowa.* Pierś widziana z przodu przedstawia się dość szeroka, widziana z boku, głęboka.

Żebra, tworzące klatkę piersiową dobrze sklepione, nigdy płaskie.

8. *Grzbiet, biodra, zad.* Grzbiet szeroki i prosty, biodro (część nerkowa), możliwie szeroka i krótka, tak grzbiet jakoteż okolica nerek możliwie o silnych muskułach, zad nie za krótki, tylko lekko spadający.

9. *Brzuch i boki.* Brzuch podkasały, szczególniej w bokach, ku tyłowi miernie ściągnięty.

10. *Ogon.* Średniej długości, prosty, w każdym razie lekko ku górze zakrzywiony.

Nasada ogona silna, nie zbyt nisko osadzona, zwężająca się stopniowo w koniec, nie zbyt cienki.

Mierne przycinanie ogona dozwolone, pozostała część ogona musi jednak conajmniej tak być długą, jak połowa oddalenia od nasady ogona do przegubu skokowego.

11. *Przednie członki.* Łopatki ukośnie ustawione, łokcie nie skręcone, ani na zewnątrz, ani też do środka.

Biegi (przedramię i środkowa kostka przedniej stopy) proste i o silnie rozwiniętych muskułach; w kostce przedniej stopy nie przegięte. Palce dobrze sklepione i nie rozpostarte, lecz zwarte.

Stopa (z przodu widziana) krągła. Puszki pod stopą wielkie i szorstkie. Pazury dobrze zakrzywione.

12. *Tylne członki.* Zad, szynki i łydki muskularne, łydki nie ukośnie, ani też stromo, jak u chartów, lecz pod łagodnym kątem do stawu skokowego ustawione. Część środkowa tylnego biegu nie za ukośnie, lecz prawie prosto pod stawem skokowym ustawiona.

Stawy skokowe, widziane z tyłu, nie mają się wydawać ani na zewnątrz, ani też do środka wykręcone.



13. *Owłosienie.* a) W ogólności. Włos na ciele ostrowłosego wyżła powinien na tułowiu mieć około 4 cm. długości, ma luźnie przylegać, ma być w tym samym kierunku z przodu ku tyłowi, względnie z góry ku dołowi zwrócony, twardy, drutowaty i prawie bez połysku.

Bezpośrednio nad łopatkami, jakoteż u spodniej części ciała przedłuża się nieco, począwszy od gardła środkową linią piersi i brzucha, tak że dłuższe ku dołowi skierowane włosy, tworzą krótką, lekką frędzlę, lub chorągiewkę.

Na całem ciele znajduje się często zaledwie dostrzegalne podwłosie, grubsze latem, cieńsze zimą.

b) w szczególności U chwytu, tworzy włos nie za długie, szczotkowate wąsy; na kości nosowej nie są one miękkie ani długie i nie spadają, lecz są krótkie i szorstkie.

Na górnej części głowy przylega włos płasko, jest krótki, twardy i bez połysku.

Na zwisach jest włos nieco dłuższy, niż u psa krótkowłosego, mianowicie twardszy niż u tego ostatniego, lecz mniej twardy niż na górnej części głowy.

Głowa nie śmie być porosłą włosem miękkim, wełnianym lub jedwabistym, z wyjątkiem miernej brody i łuków brwiowych.

Brwi krzaczyste, bujne, włosy są zwrócone do góry, a końce poszczególnych włosów w łuku brwiowym pną się ukośnie na zewnątrz.

Na przednich biegach, a mianowicie na przedniej ich stronie, rozpościera się płasko, krótki, twardy włos, na tylnej stronie twarzy nieco wydłużone pióro, które sięga prawie do pęcin.

Na tylnych biegach widoczne jest lekkie pióro, sięgające prawie do skokowych przegubów.

Między palcami przednich i tylnych członków występuje krótki, miększy, nie wystający włos.

Ogon bujnie i w zupełności owłosiony, u dolnej warstwy jest nieco dłuższy; nie tworząc jednak szczotki lub też chorągiewki.

Włosy układają się wzdłuż ogona, lecz w ten sposób, że dłuższe włosy u dolnej części nie nadwerężają jej prostolinijności.

14. *Maść i odznaki.* Brunatno-biało, pozornie siwobrunatno prążkowana lub z pojedynczymi, większymi ciemno-brunatnymi płatkami.

15. *Za wadliwe uważa się*: niezgrabną, ociężałą lub przeładowaną budowę, zapadły grzbiet, nadmiernie dużą głowę, stożkowaty tyłogłów, za silnie wykształconą kość tyłogłowia, zbyt długie, fałdziste, mięsiste zwisy, nos czarny lub koloru surowego mięsa, nie szczelnie domykające się powieki (t. z. rozszerzone kanaliki łzowe), krzywe przednie biegi, na zewnątrz skręcone lub ściśnięte łokcie, na zewnątrz zwrócone stopy, płaskie stopy, lub rozpostarte palce.

Przeważająca biała maść, jakkolwiek nie wprost wadliwa, nie jest atoli do życzenia, natomiast uważa się za zupełnie wadliwe: czarne owłosienie, żółte lub czerwone znaki na głowie i członkach. Jako szczególną wadę w owłosieniu uważa się, kręcenie się włosów na grzbiecie, należy także zaniechać nadmiernego przycinania ogona, gdyż przez to uniemożliwia się ocenę psa.

Uwaga. Niemiecka komisya delegowanych, obradując nad wnioskiem myśliwskiego Klubu „Bernburg" dotyczącego ustanowienia normy dla „kształtów" chwytu (mordy) u psów niemieckich, wcieliła następujący ustęp w cechy rasowe:

Chwyt, szczęka dolna nie śmie wystawać po nad szczękę górną i tylko nieznacznie ma być od niej krótszą.



KRONIKA

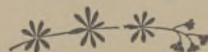
Proszą nas o zamieszczenie następującej odezwy:

Wybrana przez Sekcyę przyrodniczo-rolniczą X Zjazdu lekarzy i przyrodników Komisya dla spraw polskiego słownictwa rolniczego, zwraca się niniejszem do Ogółu rolników, pracujących na ziemiach polskich, zarówno w kierunku praktycznym jak i teoretycznym, z gorącem wezwaniem do współudziału w zamierzonej pracy nad oczyszczeniem języka z obcych naleciałości, ujednostajnieniem słownictwa rolniczego, a zarazem zebraniem wszelkich w tym dziale nazw miejscowych, rdzennie polskich.

Wszyscy, którzyby pragnęli przyczynić się do powyższej, tak dla nas ważnej sprawy, zechcą zgłosić się osobiście lub listownie u podpisanego: (Lwów, ul. Karola Ludwika 3, Towarzystwo Gospodarskie), a otrzymają bliższe objaśnienia, jak i druki potrzebne do zbierania właściwych materyałów.

Za Komisyę dla spraw polskiego słownictwa rolniczego:

Bronisław Janowski.



DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**